

NIEZAPOMINAJKA

KERSTIN GIER

NIEZAPOMINAJKA

CZEGO NIE WIDAĆ W ŚWIETLE

Tłumaczyła

Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

must read

Tytuł oryginału

VERGISSMEINNICHT – WAS MAN BEI LICHT NICHT SEHEN KANN

Originally published as

Vol. 1: *Vergissmeinnicht – Was man bei Licht nicht sehen kann*

Copyright © 2021 S. Fischer Verlag GmbH, Frankfurt am Main

Cover illustration by Eva Schöffmann-Davidov © 2021 Fischer Verlag GmbH,
Frankfurt am Main

Copyright © 2024 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Adaptacja okładki, skład i łamanie

Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-094-5

Must Read jest imprintem wydawnictwa

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk

Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

Dla wszystkich, którym akurat przyda się trochę magii



Quinn

– JEDEN DŹIN Z TONIKIEM, NIE, PROSZĘ DWA! – I to oba dla mnie. Nie zamierzałem się upić dziś wieczorem, zwłaszcza że obiecałem Lassemu zostać do samego końca i przypilnować, żeby po zażartej grze w piwnego ping-ponga nikt nie zdemolował mebli, nie porzygał się na dywan czy – jak podczas ostatniej imprezy – nie zasnął w łóżku jego rodziców. Ale plany mają to do siebie, że się zmieniają. Na przykład ja chciałem zerwać dziś ze swoją dziewczyną Lilly, a tymczasem miałem na nadgarstku bransoletkę z napisem „Cukiereczek” i pilnie potrzebowałem alkoholu.

– Zaraz, zaraz, przepraszam! Byłam pierwsza w kolejce. – Po prostu nie zauważyłem tej dziewczyny, która z oburzeniem spojrzała na mnie z ukosa. Kiedy zmierzyłem ją wzrokiem, zaczerwieniła się po same uszy.

– O, to ty, Quinn – wymamrotała.

Ja też ją znałem. To jedna z córek naszych gorliwie katolickich sąsiadów, okropnych Martinów albo „plag egipskich”, jak zwykł nazywać ich mój ojciec. Całe żeńskie potomstwo Martinów z zadartymi nosami i blond loczkami wyglądało bez wyjątku identycznie. W każdym razie ja nie potrafiłem ich rozróżnić.

– Nie wierzę, Luise! – rzuciłem na chybił trafił. – Szczerze, nigdy bym nie pomyślał, że z ciebie taka ostra imprezowiczka.

– Zwróciwszy się do barmana, dodałem: – Może pan spokojnie robić mój dzin z tonikiem. Ta pyza nie ma w ogóle zaproszenia.

Barman wyszczerzył zęby, a policzki Luise jeszcze bardziej poczerwieniały. Oficjalnie Lasse zaprosił na swoją osiemnastkę pół setki gości, ale nieoficjalnie było ich co najmniej dwa razy tyle i drinków wystarczyło najwyżej do dziesiątej. Na szczęście jego dziadkowie wnieśli swój wkład w przyjęcie w postaci tego mobilnego koktajlbaru, który wczesnym wieczorem został dostarczony jako prezent niespodzianka. Włącznie z barmanem.

– Po pierwsze, nie jestem Luise, tylko Matilda, a po drugie, Julie i ja zostałyśmy jak najbardziej zaproszone. Przez Lassego osobiście – oznajmiła Luise. A raczej Matilda, jak się właśnie dowiedziałem. Trochę drżał jej głos, prawdopodobnie z wściekłości. – Poproszę caipirinhe. – Próbowwała się uśmiechnąć do faceta za barem, ale wyszło to dosyć ponuro. Mnie natomiast trochę poprawił się humor. „Granie na nerwach okropnym Martinom” to u mnie w rodzinie od lat swego rodzaju sportowa konkurencja, w której czasami uczestniczyła nawet moja wręcz chorobliwie koncyliacyjna matka.

– Najpierw wbijasz nieproszona na imprezę, a teraz jeszcze alkohol? – Pokręciłem z zatorskaniem głową. – Mocno zasmucasz dziś dobrego Pana Boga, droga Luise.

– Jestem Matilda, ty kretyński, arogancki... – Zaciśnęła usta. Barman przystąpił do mieszania drinków, odnosiłem jednak wrażenie, że wrzucając do szklanek plasterki limonki i kostki lodu, przysłuchuje się nam z ciekawością.

– Ojjoj, i jeszcze obelgi? – Ktoś nastawił głośniej muzykę, mimo to widziałem, że usłyszała, co powiedziałem, ponieważ skrzydełka jej typowo martinowskiego zadartego nosa wydymały się ze złości. – Kretyński, arogancki – no, i co dalej? Boisz się, że spotka cię wieczne potępienie, jeśli dokończysz?

Popatrzyła na mnie z wściekłością i po chwili przeniosła spojrzenie z mojej twarzy niżej, aż zatrzymała je na moim nadgarstku.

– Kretyński, arogancki cukiereczku – wycedziła z nieklamanej satysfakcją w głosie.

Punkt dla niej. Błyskawicznie przypomniałem sobie, po co tam przyszedłem.

– Właściwie to jestem pluszaczkiem – skorygowałem. Tak przynajmniej widniało na bransoletce, którą miała teraz zawiązaną na nadgarstku Lilly. A ponieważ ona bez przerwy tak się do mnie zwracała, to między innymi dlatego chciałem z nią zerwać. Czego teraz już nie mogłem zrobić, w każdym razie nie na trzeźwo i nie czując się jak ostatni dupek. Ponieważ – niespodzianka! – właśnie się okazało, że dzisiaj mija siedemdziesiąt pięć dni od chwili, gdy cukierczek i pluszaczek są razem, co najwyraźniej skłoniło ją do podarowania mi bransoletki własnej produkcji i zapewnienia, że jeszcze nigdy, przenigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

Barman podsunął nam zamówione drinki, ja zaś, posławszy mu przepaszający uśmiech, wychyliłem od razu pierwszy dzin z tonikiem jak szklanę wody. Cukierczek? Serio? Gdybym kiedykolwiek powiedział coś takiego, bez dwóch zdań zasłużyłbym zarówno na tę bransoletkę, jak i na kolejne siedemdziesiąt pięć dni z Lilly. Za karę. Dlaczego posłuchałem rodziców i tuż przed imprezą nie zerwałem z nią szybko i bezboleśnie przez komórkę? Wtedy nie doszłoby do wręczenia tej kretyńskiej bransoletki.

To, że w ogóle byłem na tyle głupi, żeby informować rodziców o swoich planach, wynikało jedynie z tego, iż Lilly w ciągu minionych dwóch i pół miesięcy przypadła im do serca bardziej niż moje wcześniejsze panny. Matka zawsze uważała, że to cudownie, kiedy w domu bywa dziewczyna, i dla niej właściwie wszystkie moje sympatie były „cudowne” i „zachwycające”, ojciec zaś, jak

się okazało, raczej hołdował zasadzie „przez żołądek do serca”. Rodzice Lilly byli bowiem właścicielami dwóch sklepów delikatesowych w mieście, z których ich córka, wpadając do mnie, często coś przynosiła.

– Czyli koniec gratisowego carpaccio cipriani i risotta z borowikami z dostawą do domu? – wykrzyknął z przerażeniem mój ojciec, kiedy dotarło do niego, co zamierzam. – Nigdy więcej makaroników cytrynowych i pralinek z sorbetem cytrynowym? Quinn, tak przepysznej dziewczyny już nigdy nie znajdziesz.

– Ależ oczywiście, że znajdzie, Albercie! – Mama zmierzyła go surowym spojrzeniem. – I może akurat jej rodzice będą mieli studio fitness, w którym mógłbyś zgubić swój brzuch darmozjada. – Podczas gdy ojciec z zawstyżeniem zerknął na rysujący się wyraźnie pod koszulą bęben pieczeniarka, matka odwróciła się do mnie i uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Słusznie robisz, skarbie. Idź za głosem serca. Ale mimo wszystko nie wypada zrywać przez komórkę. Takie rzeczy należy załatwiać osobiście.

– Absolutnie! – potwierdził ojciec. – W przeciwnym razie dziewczyny znienawidzą cię na zawsze! Trzeba być na tyle odważnym, żeby spojrzeć im w oczy.

I teraz musiałem właśnie to zrobić, choćby dlatego, żeby nie zawieść własnych rodziców. Odstawiłem pustą szklankę. Może byłoby rozsądnie, gdyby oprócz mnie także Lilly wychyliła nieco procentów przy mojej drugiej próbie. Sięgnąłem więc jedną ręką po drugi dzin z tonikiem, a wolną capnąłem caipirinę, której Martinówna praktycznie jeszcze nie tknęła, ponieważ była zbyt zajęta wybałuszaniem szeroko otwartych oczu na mnie.

– Wiesz co, Luise, chyba lepiej ja to wezmę – powiedziałem, podczas gdy ją niemal zatkało z oburzenia. – No wiesz, żadnych mocnych drinków dla nieletnich.

Nie czekając na odpowiedź, zacząłem przepychać się przez tłum z powrotem do salonu, jak najostrożniej unosząc szklanki nad głową.

– Mam na imię Matilda, ty nadęty... pluszaczku! – krzyknęła za mną. – Sam nie masz jeszcze osiemnastki!

– Więc módl się za mnie, żebym nie trafił do piekła! – odkrzyknąłem ze śmiechem przez ramię.

– O ile nie jest już za późno – zauważył ktoś ironicznie, na co zatrzymałem się zaskoczony. Większość gości znałem ze szkoły albo z parkouru, ale dziewczyny, która stanęła wprost przede mną, nigdy wcześniej nie spotkałem. Bo gdybym ją kiedykolwiek widział, na pewno bym ją zapamiętał. Miała krótko obcięte włosy ufarbowane na jasnoniebieski kolor, w nosie tkwił jeden mały srebrny kolczyk, a drugi w brwi, była ubrana w superobcisłe czarne dżinsy i czarną bluzkę z głębokim dekoltem. Strój uzupełniały ciężkie sznurowane glany. Oczy tonęły w czarnym tuszu. Brakowało tylko wisiora na szyi w kształcie odwróconego krzyża lub wytatuowanej gdzieś liczby 666 i stereotyp byłby idealnie dopełniony. Mimo to, a może właśnie dlatego, była dosyć atrakcyjna. Wydała mi się o kilka lat starsza ode mnie, mogła już przekroczyć dwudziestkę, ale to wrażenie wynikało być może z mocnego makijażu lub jej uderzającej pewności siebie. Gdy jej usta rozchyliły się w przelotnym uśmiechu, na wędzidelku wargi ukazał się trzeci kolczyk – ten był ozdobiony lśniąącym niebieskim kamieniem. Ale jej twarz zaraz ponownie spoważniała, a głos przybrał niemal podniosły ton: – Dobrze, że cię znalazłam, Quinnie Jonathanie Yuri Alexandrze von Arensburg.

– Okej – powiedziałem przeciągle. Skąd ona zna moje nazwisko i wszystkie imiona? Nawet ja nie opanowałem ich biegle. Zawsze lekko zawstydzał mnie fakt, że matka trochę przesadziła z ich liczbą,

dlatego nie przywiązywałem do nich najmniejszej wagi. Sekwencja „Quinn Jonathan Yuri Alexander von Arensburg” – wypowiedziana powoli i z namaszczeniem, tak jak zrobiła to ona – zabrzmiała niemal groźnie, niczym początek jakiejś magicznej formuły.

– Musimy pogadać.

– Tylko tak się głupio składa, że nie mam czasu – oznajmiłem. „Muszę zanieść te drinki mojej przyszłej eksdziewczynie, a ty wydajesz się odrobinę szajbnięta”. Z drugiej strony, byłem ciekawy. – Czy my się znamy?

– Jestem Kim. – Znowu się uśmiechnęła i znowu szybko spoważniała. – To, co ci zaraz powiem o tobie, w pierwszej chwili może się wydać trochę niedorzeczne. Dopiero niedawno się dowiedzieliśmy, że istniejesz.

– Aha. – Nie odrobinę, ale totalnie porąbana, poprawiłem się w duchu, mimo to nie potrafiłem się zdobyć na to, żeby tak po prostu odejść. Ona była naprawdę bardzo ładna.

Lustrowała mnie przenikliwie swoimi piwnymi oczami.

– To ważne. Bo skoro my cię znaleźliśmy, to oni też mogą.

To już zaczynało być kompletnie idiotyczne.

– A oni są płatnymi zabójcami międzynarodowej szajki przestępczej i chcą zdobyć tajne plany, które w zeszłym tygodniu na ulicy jakiś agent wsunął mi niepostrzeżenie do plecaka? Ewentualnie wysłannikami z planety Metis, z której, choć tego nie wiem, pochodzę i którą tylko ja jestem w stanie ocalić, bo...

– Spotkajmy się za dziesięć minut przed domem – weszła mi beznamiętnie w słowo niebieskowłosa. – A Metis to nie jest żadna planeta, tylko jeden z księżyców Jowisza. – Po czym obróciła się na pięcie i odeszła. Zbaraniały patrzyłem, jak mija bar i znika w korytarzu.

– Gorąca laska! – powiedział mój przyjaciel Lasse, który nagle wyrósł tuż obok i z takim rozmachem otoczył mnie ramieniem, że rozlałem trochę caipiriny. – Stary, kto to był?

– Ty mi powiedz, człowieku! W końcu to twoja impreza. Miałem nadzieję, że to jedna z twoich cudacznych kuzynek albo ktoś taki. Ma na imię Kim.

– Nie, moja cudaczna kuzynka to ta przy oknie, która już od dobrej pół godziny wydłubuje sobie gumę do żucia z włosów. A Kim widziałem pierwszy raz w życiu, słowo – zapewnił Lasse. – Prawdopodobnie przyprowadził ją któryś z parkourowców.

– Chciała, żebym za dziesięć minut wyszedł do niej przed dom, gdzie pewnie zaparkowała swój statek kosmiczny.

– Super! – Lasse potrząsnął mną z zachwytem, powodując, że jeszcze więcej alkoholu wylało się na podłogę. – Stary, ty to masz branie u dziewczyn! To znaczy, całkowicie to rozumiem. Na ich miejscu też bym na ciebie leciał, powaga. – Sięgnął po jeden z moich drinków i pociągnął solidny łyk. – No bo tylko spójrz na siebie. Chodzi o te kontrasty. Atletyczne, wysportowane ciało i słodka azjatycka buźka dziecka, czarne jak smoła włosy i obłądnie niebieskie oczy... – Urwał. – O rany, gadam jak zabujana laska. Ale serio, brachu, kocham cię!

– Lasse, ileś ty już wypił? – Spojrzałem na niego, marszcząc czoło. Na trzeźwo nigdy nie był taki wylewny. Ale okej, w końcu tylko raz kończy się osiemnaście lat. Również ja zaczynałem powoli czuć działanie dżinu z tonikiem wypitego za moją eks. – Ja też cię kocham, typie. A ta błękitnowłosa wcale mnie nie podrywała, ona po prostu jest... totalnie porąbana.

– Mnie to by było kompletnie wszystko jedno. – Pociągnął jeszcze jeden łyk caipiriny.

– Lasse, czy ty właściwie znasz moje pełne nazwisko? – spytałem. – Ze wszystkimi imionami?

– Jasne. Quinn Johann Mega Gengar Graf Koks von Arensburg – roześmiał się. – Albo coś w tym stylu. – Potem odkrył bransoletkę. – Cukie... O w mordę, co to jest? Od Lilly? Musisz się tego pozbyć przed spotkaniem z niebieskowłosą, bo to nie jest ani trochę sexy.

– To jest niezdejmowalne – stwierdziłem ponuro. – Lilly w pełnej euforii zawiązała mi ten rzemyk na potrójny węzeł, który wytrzyma nie tylko kolejne siedemdziesiąt pięć dni, ale co najmniej siedemdziesiąt pięć lat.

– Przydałyby się nożyczki.

Możliwe. Ale jeśli przetnę bransoletkę, Lilly poczuje się śmiertelnie zraniona. Choć z drugiej strony – jak z nią zerwę, to i tak śmiertelnie się obrazi, a ja przynajmniej odzyskam godność. A może Lilly, widząc mnie bez bransoletki, będzie do tego stopnia dotknięta, że zmieni front i to ona ze mną zerwie. Wtedy upiekłbym, by tak rzec, dwie pieczenie na jednym ogniu.

– W łazience na piętrze w szufladzie pod umywalką. – Lasse odgadł moje myśli. – Daj mi tę szklankę! Poczekam tu na ciebie. – Wziął mi z ręki dzin z tonikiem i od razu trochę upił. – O rany, to chyba najlepsza impreza, jaka zdarzyła mi się w życiu. Trzeba tylko uważać, żeby tym razem nikt niczego nie wrzucił do akwarium taty.

No właśnie. Po szesnastych urodzinach Lassego wydaliśmy majątek na kupno świeżych rybek przed powrotem jego rodziców z urlopu. Żeby znaleźć grubowarga syjamskiego, zbrojnika lancetowatego i turkusowo-złocistą pielęgniczkę, musieliśmy zaliczyć wszystkie sklepy zoologiczne w mieście. Nie było to coś, co chciałbym powtórzyć.

– Zaraz wrócę – zapewniłem, ani przez ułamek sekundy nie przeczuwając, że były to ostatnie słowa, jakie na długi czas wypowiedziałem do mojego przyjaciela.



Na piętrze panował spokój, na wszelki wypadek zajrzałem do sypialni rodziców, ale ich łóżko było nietknięte, na razie impreza odbywała się grzecznie na parterze. Jak zawsze w ostatnich latach starzy Lassego pojechali na urlop i zostawili mu dom do dyspozycji pod warunkiem, że gdy wrócą, zastaną go w takim stanie, w jakim go opuszczali. Przy czym podobnie jak moi starszankowie za mniejsze nieszczęście uznawali rysy na parkiecie niż smród papierosowego dymu wżarty w firanki i dywany. Dlatego palacze, dygocząc z zimna, stali na tarasie, ale jak dotąd nikt nie narzekał.

Nożyczki do paznokci, które znalazłem w łazience, nie były niestety przeznaczone dla osoby leworęcznej, a ponieważ Lilly zawiązała mi bransoletkę na prawym nadgarstku, trochę mi to zajęło, zanim w końcu przerzynałem rzemyk. Niewiele brakowało, a wyrzuciłbym go do kosza, w ostatniej chwili jednak postanowiłem wcisnąć go do kieszeni spodni, na wypadek gdyby Lilly chciała odzyskać bransoletkę dla swojego następnego pluszaczka. Oczywiście nie spieszyło mi się specjalnie, żeby się tego dowiedzieć. Okno łazienki wychodziło na ulicę i nagle ogarnęła mnie ciekawość, czy ta niebieskowłosa Kim rzeczywiście czeka przed domem. Nie byłem jeszcze zdecydowany, czy powinienem spełnić jej prośbę, chociaż z drugiej strony chętnie bym się dowiedział, skąd ona – w przeciwieństwie do mego najlepszego przyjaciela – zna wszystkie moje liczne imiona i czego tak naprawdę ode mnie

chce. „Dopiero od niedawna wiemy, że istniejesz” – co to niby miało znaczyć?

Przezornie zgasilem światło i najciszej, jak potrafiłem, otworzyłem okno i wychyliłem się, żeby zajrzeć pod daszek nad wejściem.

O tak, te długie nogi w ciężkich czarnych butach zdecydowanie należały do niej. Najwyraźniej stała oparta plecami o ścianę obok drzwi. Była sama, strumień bez ustanku napływających gości już ustał. Ze swojego miejsca nie mogłem zobaczyć jej miny, ale widziałem, że niecierpliwie bębni palcami w okładzinę muru. Chyba rzeczywiście na mnie czekała.

No dobra, w takim razie pogadam z nią. Lilly mogę zająć się później.

W momencie gdy zamierzałem zamknąć okno, żeby potem zejść na dół, z cienia rzucanego przez rośliny przed domem wyłoniła się jakaś postać i wyłożoną kamieniami ścieżką ruszyła powoli w kierunku drzwi wejściowych. Zaciekawiony znów pochyliłem się do przodu. Był to niewielkiego wzrostu mężczyzna w płaszczu i kapeluszu, w skąpym świetle nie potrafiłem oszacować jego wieku. Ponieważ jednak tego rodzaju kapelusz widywałem jedynie u dziadków spacerujących z jamnikami szorstkowłosymi, założyłem więc, że jest raczej starszy. Najwyraźniej nie należał do urodzinowych gości, tylko znalazł się tutaj ze względu na tę Kim, która nagle oderwała się od ściany.

– Co pan tu robi! – krzyknęła przerażona.

Mężczyzna się zatrzymał.

– Naprawdę myślałaś, że cię nie zauważymy? Na naszym terenie?! Trzeba przyznać, że nie brakuje ci tupetu! – Miał dziwnie chrapliwy głos i wcale nie musiałem słyszeć reakcji niebieskowłosej, żeby stwierdzić, że nie jest to bynajmniej nieszkodliwy właściciel jamnika.

Zrobiła kilka kroków w bok, dzięki czemu teraz widziałem całą jej postać. Wyglądała na wyjątkowo spiętą.

Męczyzną chyba ucieszyła jej reakcja.

– Trochę za późno, dziecinko – powiedział, śmiejąc się cicho. – Nam nikt tak łatwo nie umknie.

Kim rozejrzała się dookoła, jakby szukała drogi ucieczki. Albo kogoś, kto by jej pomógł.

Narkotyki. To pierwsze, co przyszło mi do głowy. Dziewczyna jest dilerką i sprzedawała towar na terenie konkurencji.

Nieznajomy znowu ruszył wolnym krokiem.

– Zaraz wyśpiewasz mi wszystko, co muszę wiedzieć. Kto jeszcze jest w to zamieszany, jak do tego doprowadziłaś i kto za tym stoi...

– Wolałabym już umrzeć – odparła cicho Kim.

Tym razem mężczyzna roześmiał się głośno, zabrzmiało to równie chrapliwie i złowrogo, jak jego mowa.

– Taką prośbę zawsze chętnie spełniamy. I to za przewinienia mniejsze od twojego. Ale przedtem jeszcze tylko trochę porozmawiamy. Przy czym nie widzę przeszkód, żebyś już zaczęła umierać.

Dziewczyna raptem zrobiła wykrok w bok, jakby chciała przetestować prędkość jego reakcji. Pstryknął palcami. Rozległo się warczenie, nie potrafiłem go dokładnie zlokalizować, ale gdy je usłyszałem, włosy stanęły mi na głowie. Czy to ten dziadek tak warknął? W każdym razie ów upiorny odgłos sprawił, że Kim znieruchomiała jak rażona prądem.

– Nic mi pan nie może zrobić – wykrztusiła. – To wywołałoby za dużo hałasu. Poza tym... mam notatki, które w razie mojej śmierci zostaną upublicznione. Nagrania wideo...

Na dziadku nie zrobiło to wrażenia.

– Czyżby? Co ty powiesz? – rzucił i sięgnął do kieszeni płaszcza.

Niewiele myśląc, wspiąłem się na parapet, zeskoczyłem na daszek nad wejściem i wykonując perfekcyjne czteropunktowe lądowanie, sekundę później znalazłem się na ścieżce między niebieskowłosą a mężczyzną, tak jak setki razy ćwiczyłem wcześniej na parkourowych treningach. Dopiero kiedy się wyprostowałem, dotarło do mnie, co zrobiłem. Można powiedzieć, że byłem nie mniej oszołomiony niż ta dwójka, gapiąca się na mnie z niedowierzaniem. Ale na zastanawianie się nie było już czasu.

– Spadajmy stąd! – Chwyciłem dziewczynę za rękę i pociągnąłem za sobą. Ponieważ drzwi do domu były zamknięte, a dojście do ulicy blokował nieznajomy, jedyna droga ucieczki, jaka nam pozostawała, to skok przez gęsty żywopłot oddzielający frontowy ogródek od reszty działki. Przyjaźniłem się z Lassesem od małego, dlatego znałem tu niemal każdy metr równie dobrze jak u siebie w domu i wiedziałem, w którym miejscu można przecisnąć się między zwartymi krzewami. Najpierw przepchnąłem przez ciasny prześwit Kim, a potem przedarłem się tuż za nią, nie oglądając się do tyłu na mężczyznę i licząc na to, że jeszcze nie doszedł do siebie po moim nieoczekiwanym pojawieniu się. Jeśli uda nam się okrążyć dom od tyłu, moglibyśmy dostać się na taras, a z niego do środka, gdzie bylibyśmy bezpieczni.

– Co to za typ? – wydyszałem, pędząc przez ciemność ku smudze światła padającej na trawnik z ogrodu zimowego.

– Jak można być takim kretyńcem? – rzuciła niemal jednocześnie.

Przyznaję, to nie był specjalnie mądry pomysł, żeby tak spontanicznie i bez jakiegokolwiek planu wyskakiwać z okna. Teraz zdałem sobie z tego sprawę. Pewnie lepiej by było cisnąć z góry

w faceta w kapeluszu czymś ciężkim, na przykład wagą łazienkową. Albo krzyknąć jak najniższym głosem: Policja! Proszę powoli podnieść ręce i odwrócić się twarzą do ściany. Ale tak czy owak to był miły gest z mojej strony. I dosyć brawurowy. Niewdzięczna dziunia.

– Nie ma za co – powiedziałem.

– Ty nic nie ogarniasz. Oni w żadnym wypadku nie mogą cię dorwać.

– Mnie? – zdziwiłem się. Ona naprawdę wydawała się coraz bardziej zabawna. O ile mi wiadomo, jak na razie nikt nie groził, że mnie zabije. – Co tu się właściwie dzieje? To jakieś odjechane *cosplay*, tak?

Nie odpowiedziała, być może dlatego, że jakieś dziesięć do piętnastu metrów od nas zza węgła domu wyłoniły się trzy postacie. Nie była to niestety żadna obściskująca się para z urodzinowej imprezy, która zeszała z tarasu, tylko facet i kobieta, a między nimi coś przypominającego gigantycznego psa.

– Ja pierniczę! – szepnęła Kim.

Owszem, w mordę jeża.

Kobieta wyglądała raczej nieszkodliwie, natomiast już sam cień jej partnera zdradzał kogoś znacznie młodszego i bardziej muskularnego od dziadka w kapeluszu; prawdziwy problem stanowił jednak pies – sięgał mężczyźnie prawie do bioder. Dało się słyszeć głośne ziajanie, monstrum wrywało się w naszą stronę, najwyraźniej powstrzymywane jedynie przez smycz.

Gdzieś za nami przez żywopłot przedzierał się kapelusznik, co bardziej słyszeliśmy, niż widzieliśmy. Znaleźliśmy się w pułapce.

Ogród z boku domu liczył zaledwie kilka metrów szerokości, a za nim wyrastał dwumetrowy mur sąsiadów, hojnych dziadków Lassego. Oprócz kilku krzaków porzeczek, kompostowników

i sterty drewna na opał znajdował się na nim także składzik na narzędzia. Muzyka i gwar imprezy były ledwo słyszalne. Wołanie o pomoc nie miało sensu.

Istniało tylko jedno wyjście.

– Tędy – syknąłem, po czym chwyciłem niebieskowłosą za rękę, precyzyjnie się razem z nią przez krzaki i ruszyłem pędem ku składzikowi. – Dasz radę przeskoczyć przez ten mur?

Prawdopodobieństwo, że ona też trenuje parkour i bez problemu pokona dwa metry, nie było zbyt duże, ale trochę ułatwiłoby nam sytuację.

– Nie, nie dam! Musisz uciekać beze mnie, słyszysz? Oni nie mogą cię złapać.

Co ona, do cholery, do mnie ma? Nieważne, rozgryzę to później. Wyglądało na to, że nasi prześladowcy na razie jeszcze się przygotowywali, w każdym razie nie było słyhać ich kroków, tylko sam głos kapelusznika wydającego gdzieś zza krzaków polecenia.

– Z nią jest jeszcze jakiś smarkacz. Weźcie ich oboje – wycharczwał. – Ale dziewczynę muszę mieć żywą. Spuście Sirin!

A niech to szlag! Sirin to pewnie ten gigantyczny pies. A skoro zależy im wyłącznie na żywej dziewczynie, to znaczy, że smarkacza, czyli mnie, mogła rozszarpać bestia.

Musieliśmy się pospieszyć. Kiedy Lasse był jeszcze mały, jego dziadkowie zainstalowali w murze obok składziku coś w rodzaju kłapy dla kota, aby wnuk w każdej chwili mógł przejść do ich ogródka. W dzieciństwie bardzo często przełaziłem razem z nim przez tę dziurę i miałem nadzieję, że przejście nadal istnieje. Podczas gdy Kim fuknęła, żebym nie zwracał na nią uwagi, tylko uciekał sam, przyklęknałem, wymacałem uchwyt i uniosłem klapę.

– Ty pierwsza!

Otwór był nieduży, ale na szczęście niebieskowłosa była szczupła i zwinna. Odetchnąłem z ulgą, że nie traciła czasu na dalsze dyskusje ze mną co do kolejności, tylko błyskawicznie przecisnęła się na brzuchu. Chociaż mimo wszystko nie omieszkała z przejęciem wyszeptać:

– Musimy się rozdzielić, Quinn! Biegnij i zatrzymaj się dopiero wtedy, gdy będziesz bezpieczny. Bez względu na to, co się wydarzy, i bez względu na to, co usłyszysz, nie zwracaj, żeby mnie ratować. Obiecuj mi to!

– No dobra, dobra. – Nie dało się nie zauważyć, że to dla niej naprawdę ważne, aby nie została uratowana przeze mnie.

– *Venatores, capite!* – krzyknął chrapliwy głos, gdy kłapa właśnie zamknęła się za nią. Zerwałem się na równe nogi. Czy pojawili się kolejni ścigający o imionach Venatores i Capite? Rozległo się krótkie skamlenie, a ja ze strachu, że ta wielka bestia zaraz wbije kły w moje stopy, gdy akurat będę się przeciskał przez otwór, wziętem krótki rozbieg, wciągnąłem się na mur i zeskoczyłem do ogrodu dziadków. W samą porę. Bo kiedy wylądowałem na ziemi, usłyszałem, jak pies z ujadaniem przedarł się przez krzaki porzeczki i wpadł prosto na murowaną przeszkodę. Chociaż wyglądał na ogromnego, taka barykada była dla niego najwyraźniej nie do pokonania. Jeśli zaś o mnie chodzi, wielomiesięczne treningi z Lassem jednak się opłaciły. Jeżeli tamci nie odkryją zaraz kłapy, mur trochę opóźni pościg.

Po dziewczynie przepadł wszelki ślad. Czy popędziła ku ulicy czy może w stronę sąsiednich ogrodów? Nie miałem pojęcia. I choć rozdzielenie się i zwabienie naszych prześladowców w dwa różne kierunki teoretycznie mogło wydawać się sprytne, chętnie jednak bym się dowiedział, o co, u diabła, w tym wszystkim chodzi.

Na chybił trafił skręciłem w lewo i obok ogrodowego oczka wodnego przemknąłem do niskiego ogrodzenia oddzielającego działkę od posiadłości sąsiada z tyłu. Dom dziadków był w pełni oświetlony, ale oni sami spędzali wieczór w operze, o czym poinformowali, dostarczając niespodziankę w postaci baru. Światło paliło się jedynie dla odstraszenia ewentualnych włamywaczy, mnie zaś pomagało orientować się w ciemności. Po niebieskowłosej nadal ani śladu. Miałem nadzieję, że jakoś sobie poradziła. I że ma przy sobie komórkę, żeby wezwać pomoc. Moja znajdowała się jak zwykle w kieszeni kurtki, a kurtka leżała na łóżku w pokoju Lassego. W kieszeni spodni znalazłem jedynie pokwitowanie otrzymania mobilnego koktajlbaru od dziadków, który odebrałem za ich wnuka. Wyjątkowo przydatne.

Kiedy tuż przy sośnie przeskakiwałem przez płot do następnego ogrodu, usłyszałem szum brzęmiący jak trzepot skrzydeł ptaka, gigantycznego ptaka, mówiąc precyzyjnie. Skuliłem się odruchowo, bo miałem poczucie graniczące z pewnością, że lada sekunda uderzy mnie olbrzymie skrzydło. Ale gdy spojrzałem w górę, nic nie zobaczyłem.

Prawdopodobnie na którymś z pobliskich drzew siedziała tylko spłoszona sowa. Mimo to nie miałem czasu, by się odprężyć, ponieważ w tym samym momencie usłyszałem za sobą głośne ujadanie, nijak niepasujące do idyllicznej atmosfery domków jednorodzinnych, a kojarzące się raczej z kiepskim horrorem. Ta psia bestia jakoś jednak pokonała mur i deptała mi po piętach!

I nagle zadałem sobie pytanie, czy to się dzieje naprawdę? Czy na serio ścigają mnie dziewczyna o niebieskich włosach, dziadek w kapeluszu, gigantyczny pies i niewidzialny ptak? Co było w tamtym dżinie z tonikiem? Prawdopodobnie to wszystko zaraz się skończy, gdy tylko włożę głowę pod zimną wodę.

Ale potem ujadanie przeszło w wycie, które brzmiało tak prze-
rażliwie, że nie pozostało mi nic innego, jak puścić się biegiem
dalej. Później zawsze będę mógł się śmiać z samego siebie.

Dałem dyla przez jasno oświetlony i naszpikowany czujnikami
ruchu trawnik i przeskoczyłem przez płot myśliwski do następnego
ogrodu. Tam od razu odbiłem w bok, wszedłem po drewnianej
kratownicy na dach garażu, aby przez podjazd wybiec na rów-
noległą ulicę, którą przeciąłem, po czym przez kolejny podjazd
i żywopłot dostałem się do któregoś z kolei ogrodu. „Zatrzymaj się
dopiero, kiedy będziesz bezpieczny” – powiedziała Kim. Świetna
rada. Tylko gdzie to dokładnie miałyby być? Naokoło same domy
mieszkalne, o tej porze nigdzie nie działo się absolutnie nic, można
co najwyżej natknąć się na dostawcę pizzy albo samotnego joggera.
Dzwonienie do którychkolwiek drzwi nie miało najmniejszego
sensu, bo albo nikt mi nie otworzy, albo zatrzaśnie mi je przed
nosem, a wtedy to potężne bydlę wbije mi zęby w kark. Lepiej biec
dalej i zachować odpowiedni dystans od bestii. Zwłaszcza że czu-
łem, jaki jestem superszybki, co w miarę przedzierania się przez
kolejne ogrody dodawało mi coraz więcej pewności siebie. Parkour
po ciemku w nieznanym terenie to mało rozsądny i raczej niebez-
pieczny pomysł, ale moje stopy jakby same znajdowały właściwe
pozycje do wyskoku, a ciało było idealnie skupione i napięte, gdy
frunąłem z jednego dachu garażu na drugi. Im dłużej biegłem, tym
więcej znajdowałem w sobie sił. Niemożliwe, by ktokolwiek był
w stanie za mną nadążyć, a już na pewno żaden dziadek w kape-
luszu. I żaden pies na świecie nie potrafi przeskoczyć przez garaż.

W kilku susach wspiąłem się na dąb czy też jakieś inne drze-
wo, którego korona wystawała ponad następnym wysokim ogro-
dzeniem. Przez moment nasłuchiwałem w ciemności, czując, jak
wzbiera we mnie fala dzikiego triumfu. Żadnych kroków, żadnych

agresywnych rozkazów, żadnego zwierzęcego wycia. Zgubiłem ich!

Pora wziąć głęboki oddech. Cokolwiek to miało być, było totalnie szalone i nierealne, jak scena z jakiegoś snu lub filmu. Jedynie w filmie padają zdania typu: „Muszę mieć ją żywą!” i „W żadnym wypadku nie możesz dostać się w ich ręce!”. I tylko w filmie dawało się usłyszeć takie odgłosy jak ten szum skrzydeł, który raptem znów pojawił się nade mną wraz z towarzyszącym mu przenikliwym, wysokim krzykiem, który nie pochodził chyba ani od człowieka, ani od zwierzęcia i brzmiał jak zlepek pisków i syków. To tyle, jeśli chodzi o pozbycie się pościgu.

Rzuciłem się w bok i zacząłem zsuwać się po gałęziach w dół, aż w końcu mogłem zeskoczyć na trawnik. Po raz kolejny wylądowałem w czyimś ogrodzie, tyle że teraz straciłem już orientację, przy jakiej jestem ulicy, ale ponieważ ruch tutaj był wyraźnie większy, musiałem być blisko Ringu, gdzie znajdowały się otwarte jeszcze restauracje, teatry, jeździły tramwaje. Chodzili ludzie.

Tutaj natomiast wszyscy wydawali się od dawna spać. Nawet gdy rozbłysło kilka reflektorów uruchomionych przez czujniki ruchu, w domu i tak nikt się nie poruszył. Ponownie rozległ się ten dziwny odgłos, popychając mnie w kierunku garażu, gdzie spodziewałem się natrafić na otwarte drzwi od tyłu. Niestety, nie było mi dane to sprawdzić. Bo zanim do nich dotarłem, odkryłem nagle w krzakach wlepione we mnie żółte ślepie.

Nie! To niemożliwe! A jednak – kiedy to coś znalazło się w stożku światła, zobaczyłem, że owo gigantyczne bydlę to żaden pies, tylko wilk, czarny, skołtuniony i z groźnie uniesionymi faflami. Czekał na mnie.

Jego wyszczerzone zęby były monstrialne, po sekundę trwającym odrętwieniu moje ciało zareagowało automatycznie. Wskoczyłem na chybliwy stos drewna obok garażu, a z niego

dałem desperackiego susa na dach. Kiedy się odepchnąłem, parę polan poturlało się na ziemię. W domu nadal nikt się nie ruszał, a gdyby ktoś w tym momencie wyrzwał przez okno, na pewno zobaczyłby gigantycznego wilka galopującego przez trawnik i próbującego z dzikim warczeniem wskoczyć na ścianę garażu. Ale jak na złość nikt nie patrzył. Nikt nie spieszył mi z pomocą. Dałem szczupaka na dach garażu sąsiadów, z niego na wydłużony okap, potem trochę niżej na komórkę na śmieci i znowu na kolejny garaż. W oddali widziałem różowy neon salonu fryzjerskiego mieszczącego się u wylotu Ringstrasse. Jak w amoku puściłem się pędem w stronę „Czterech pór włosów”, zamierzając schronić się w kebabowni Güngörs tuż obok salonu i stamtąd zadzwonić na policję. Albo do zoo. Albo do rodziców. „Tato, czy mógłbyś szybko po mnie przyjechać? Wilk i ptak olbrzym chcą mnie pożreć!”

Zgiełk przejeżdżających samochodów sprawił, że łopot skrzydeł usłyszałem dopiero, gdy znalazły się tuż nade mną. Ogarnięty paniką nie zeskoczyłem prawidłowo i zamiast wylądować na kolejnym dachu, zakończyłem swój skok gdzieś w powietrzu przed nim. Rynna, której się uczepiłem, natychmiast wyrwała się z zakotwiczeń i z hukiem runęła razem ze mną na bruk. Jedną stopę przeszył nagły ból, ale nie zwracając na niego uwagi, biegłem najszybciej jak potrafiłem w kierunku skrzyżowania. Oślepiiony światłami jadącego z przeciwka auta, zauważyłem wilka dopiero w chwili, gdy rzucił się na mnie z boku i zepchnął na jezdnię. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem przed rąbnięciem o asfalt, był pisk hamulców idący w zawody z odgłosami wydawanymi przez skrzydlatego stwora. A moja ostatnia myśl była taka, że może teraz w końcu ostatni nieśpiący mieszkańcy tej ulicy zrozumieją, że ten hałas nie pochodzi z ich telewizora. Ale dla mnie było już za późno.